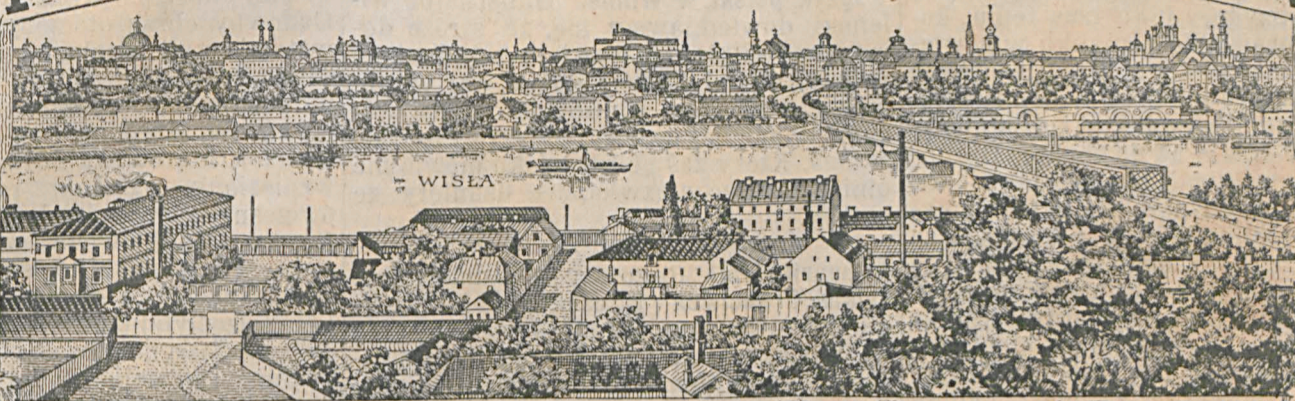


GAZETA ŚWIĄTECZNA

WARSZAWA



Wychodzi w WARSZAWIE na każdą NIEDZIELĘ

Dnia 19 Stycznia 1913 roku.

Cena Gazety Świątecznej:

bez przesyłania:		z przesyłaniem:	
Na cały rok	2 ruble	Na cały rok	3 ruble
„ pół roku	1 rubel	„ pół roku	1 r. i 50 k.
„ ćwierć roku	pół rubla	„ ćwierć roku	75 k.

Gazeta pojedynczo kosztuje 5 k., z przesyłką 7 k.

Przedpłatę na Gazetę Świąteczną wysyłać należy do Tadeusza Prószyńskiego w Warszawie, ulica Świętokrzyska, liczba 2, róg Nowego-Swiata. Tamże mieści się Redakcja i Wysyłalnia Gazety Świątecznej oraz Księgarnia Krajowa.

Liczba telefonu Redakcji, Wysyłalni i Księgarni 39-70.

Za ogłoszenia od drobnego wiersza lub jego miejsca na stronie ósmej 1 r., a na str. dalszych po 60 k. Małe ogłoszenia stałych czytelników darmo.

Utwory wykończane w Gazecie Ś. są własnością redakcji, więc tylko za jej przyzwoleniem przedrukowywane być mogą. Rękopismów nie zwraca się.

Tkacze w mieście Turku.

W mieście Turku, w gubernji kaliskiej, i całej jego okolicy jest około półtora tysiąca warsztatów tkackich, czyli, jak je tu niewiadomo po co z niemiecka nazywają, „weberskich“, na których tkacze tutejsi wyrabiają rozmaite towary, jak: fartuchy, „ansity“, „kieprzy“, „becajgi“ i „kledercajgi“. Cena za wyrabianie tych towarów jest następująca: od sztuki (65 łokci) osiem ćwierci szerokich fartuchów — 3 r., od ansity 3 r. i 60 k., od kiepru 3 r., od becajgi i kledercajgu 2 r. i 25 k. Aby wytknąć taką sztukę, trzeba dobrze pracować przez trzy dni, a jeżeli robotnik jest już w latach i słaby, to musi taką sztukę robić cały tydzień.

Tkacz tutejszy zarobić może najwyżej do 7-miu rubli tygodniowo. Kto ma kawałek ziemi i własne mieszkanie, temu przy zarobku tkackim nieźle się powodzi; ale kto musi na wszystko zarobić na warsztacie, a przytém ma rodzinę do wyżywienia, u tego jest niedostatek, biada, albo i nędza.

Warsztat tkacki, ze wszystkimi przyrządami kosztuje około 50-ciu rubli. Kto ma taki warsztat i umie na nim dobrze tkąć, ten idzie do Turku do majstra tkackiego i bierze od niego robotę, to jest osnowę. Osnowa taka starczy na 4 sztuki; gdy z niej tkacz zrobi towar, wtenczas otrzymuje pieniądze.

Majstrów wydających tkaczom robotę jest w Turku do czterdziestu, a są to przeważnie żydzi, którzy biednych robotników wyzyskują na każdym kroku.

Majster wydający robotę musi znać się na „mustrach“ czyli wzorach tkackich, musi wiedzieć, jaki towar „lepiej odchodzi“ czyli jest bardziej przez kupujących poszukiwany, i musi mieć co najmniej 10 tysięcy rubli. Mając tyle pieniędzy można wydawać robotę na jakie 30 warsztatów.

Sztuka 8-ćwierciowych fartuchów kosztuje majstra 12 rubli; jeżeli więc majster sprzedaje łokieć po 22 kopiejki, to ma na sztuce 2 r. i 30 kop. zarobku, a niechby miał 30 robotników, z których każdy

zrobi dwie sztuki na tydzień, to wtenczas majster ma czystego zysku na tydzień 138 r., czyli na rok 7176 rubli. Aż miło posłuchać, jak to prędko można się dorobić, gdy się ma pieniądze i umie nimi kierować! Ale cóż, kiedyśmy tu cały ten przemysł oddali w ręce żydowski! Żydzi dobrze się z tego mają, my zaś tylko podziwiamy ich zrzętność. To też byłoby rzeczą pożądaną, aby ludzie znający się na tkactwie, a mający pieniądze przyjechali do Turku i zaczęli wydawać robotę tutejszym robotnikom; wtenczas polepszyłaby się dola tkaczy i nie byłiby narażeni na taki wyzysk i oszustwo, jak dzisiaj. *Władysław Misz.*

Mogliby tkacze w Turku, nie oglądając się na pomoc zkadınad, sami w krótkim czasie być swój poprawić. Dziś, gdy każdy zarabia na własną rękę i sam, o własnych siłach z biadą się zмага, to ona łatwo nad nim bierze górę; ale niechby się tkacze wzięli za ręce, niechby utworzyli spółkę, to zaraz daliby biędzie radę; niktby ich nie mógł wyzyskiwać, zarobek pozostawałby w ręku samych pracowników i był ich prędko by się polepszył. Aby wydawać robotę na trzydzieści warsztatów, trzeba mieć — jak pisze czytelnik Wł. M. — co najmniej dziesięć tysięcy rubli. Otóż trudniej jest znaleźć człowieka zamożnego, mającego do rozporządzenia 10 tysięcy rubli, niż stu ludzi mogących złożyć udziały 100-rublowe, albo dwustu mających do rozporządzenia każdy po 50 rubli. Zamiast więc oczekiwać pomocy zamożnych przedsiębiorców, niechby każdy złożył niewielki udział pieniężny; ziarno do ziarnka — zebrałaby się miarka, i oto zamiast przedsiębiorcy wydzielającego tkaczom robotę i sprzedającego potem wytkany towar, robiłaby to sama spółka, z tą różnicą, że cały zarobek byłby własnością pracowników tworzących spółkę, gdy teraz część tylko zarobku im się dostaje, a reszta stanowi dochód pośrednika. Gotowym wzorem dla tkaczy chcących się jednaczyć w pracy może być spółka tkacka istniejąca już od lat kilku we wsi Kamienicy-Polskiej w stronach Częstochowskich. Temi czasami, jak słyhać, powstaje u nas

kilka takich spółek tkackich. Porozumiawszy się między sobą tkacze, którzy pracowali dotychczas w jakiejś okolicy każdy na własną rękę, wnoszą podanie do władzy gubernjalnej o zatwierdzenie ustawy i zawiązują spółkę, co przychodzi im tém łatwiej, że kasy pożyczkowo-oszczędnościowe chętnie pożyczają takim spółkom do tysiąca rubli na zakup przędzy.

NOWINY.

Żydzi na komornem u włościan. W roku 1891 wydane zostało prawo o sprzedaży, dzierżawie i zastawie takich gruntów, które stały się własnością włościan na mocy ukazu wydanego w roku 1864. Według tego prawa tylko włościanie albo mieszcianie rolni mogą ziemię taką nabywać na własność, dzierżawić, lub brać w zastaw. Budynki na takiej ziemi tylko z nią razem wolno nabywać lub brać w dzierżawę. Prawo to powiada też o żydach, że niewolno im ani zarządzać takimi gruntami włościańskimi, ani w jaki bądź sposób z tych gruntów użytkować. W wielu więc okolicach kraju prawo to wyrozumiano tak, że zakazuje ono żydom i mieszkać w domach stojących na ziemi włościańskiej z ukazu. Gdzieindziej znów uważano, że wcale tak nie jest, gdyż dawniejsze prawa wyraźnie pozwalają żydom narówni z innymi ludźmi mieszkać po wsiach, a nowe prawo z roku 1891 wcale im tego nie zabrania. Z niejednakowego w różnych okolicach pojmovania prawa wynika potrzeba wyjaśnić: czy prawo z roku 1891 o sprzedaży, dzierżawie i zastawie gruntów ukazowych pozwala, czy też zabrania żydom mieszkać w budynkach wzniesionych na takich gruntach. Wyjaśnieniami wszelkich wątpliwości prawnych zajmuje się senat, więc i tę sprawę przesłano do senatu. Orzekł on wtedy, że prawo nie zabrania żydom najmować mieszkań w domach włościańskich, ale wolno im w nich tylko mieszkać z rodziną, niewolno zaś korzystać z tego mieszkania w tym celu,

żeby handlować z włościanami lub w inny jaki sposób ciągnąć korzyści z majątku włościanina. Wyjaśnienie to nie rozstrzygnęło wszystkich wątpliwości i w dalszym ciągu nie było napewno wiadomo, czy temu lub owemu żydowi wolno, czy niewolno mieszkać we wsi lub w osadzie ukazowej. Aż teraz, jak donoszą gazety codzienne, nastąpiło nowe wyjaśnienie senatu, które zupełnie inaczej tę sprawę rozstrzyga. Jakiś czas temu, komisarz od spraw włościańskich w powiecie kieleckim wydalil z jednej wsi żyda Ch. Mydłę, który mieszkał w domu włościańskim. Mydło pozwał komisarza do sądu i sprawa doszła aż do senatu. obrońca Mydły powoływał się na dawniejsze wyjaśnienie prawa z roku 1891, jednakże senat wyjaśnienia tego nie uznał za słuszne i orzekł, że samo mieszkanie na czyimś gruncie jest już użytkowaniem z tego gruntu; skoro więc prawo wzbrania żydom z ziemi włościańskiej ukazowej w jakikolwiek sposób użytkować, to zabrania i mieszkać na niej. Żydom tedy, podług tego nowego wyjaśnienia, niewolno nie tylko nabywać i dzierżawić ziemi włościańskiej ukazowej, ale także i mieszkać w domach włościańskich na takiej ziemi.

O pracy społecznej w Błaszach w stronach Kaliskich pisze do nas jeden czytelnik:

I nasze miasto już nie śpi; biorą się tu ludzie do pracy społecznej. W roku 1911 powstała tu staraniem księdza wikarego Rowickiego spółka szewców, która dobrze się rozwija, a w roku ubiegłym dzięki zabiegom tegoż księdza założono chżeścjańska kasę pożyczek i oszczędności, która ma działać na 10 wiorstokoła, a mianowicie na parafję Błaszowską i trzy sąsiednie: Iwanowice, Staw i Gruszyce. Uchwalono, że kasa płacić będzie od wkładów 6 procentów, to jest po 6 rubli od sta, pożyczający zaś na handel płaci 8 rubli od sta. Na pierwszym zgromadzeniu zapisało się 93 członków z udziałami po 30 rubli. Kasa czynna jest dwa razy na tydzień: w poniedziałki i piątki. Skarbnikiem jest p. Broński, pisarzem — organista Olszewski, przewodniczącym — p. Kraconowicz z Zawad. Do rady wybrani zostali: ksiądz proboszcz Kruzkowski, p. Mińkowski z Kwaskowa, panowie: Piątkiewicz, Halbert i Jachowicz i p. Gutowska z Wolenia. Do sprawdzania kasy powołani zostali: ksiądz Pawełczak z Iwanowic, wójt Snieguła z Błaszek i Wesołowski. Jest w Bogu nadzieja, że i kasa będzie się dobrze powodziła. W roku ubiegłym również założone zostało u nas kółko rolnicze; członków ma 60-ciu; wpisy wynosiły po pół rubla. W pierwszym roku istnienia kółko sprowadziło wagon węgla kamiennego, wagon superfosfatu i siewnik rzędowy o 17 rurkach, oraz wysłało dwóch członków do Liskowa na miesięczną naukę rolnictwa. Teraz kółko zamierza urządzić znów wycieczkę do Liskowa dla obejrzenia na miejscu, co i jak tam robią, aby potem u siebie to, co dobre, wprowadzić. Na wycieczkę zapisało się 16 osób.

Członek kółka *Franciszek Ol.*

Nowa spółka sklepowa. Ze wsi Łęknice w okolicy kopalni, na południu gubernji piotrkowskiej, piszą do nas:

Co tydzień prawie czytamy w kochanej Gazecie Świętecznej o coraz lepszym rozwoju handlu polskiego. Otóż i myśmy wyteżyli na to swe siły, i założyliśmy sklep spółkowy pod nazwą „Łęknice“. I dosyć dobrze nam się roz-

wija, choć gruba jeszcze u nas ciemnota i prawie połowa naszej wioski popiera żydów, chociaż do ich brudnych sklepików, a nie zważając wcale na chżeścjański sklep spółki. Da Bóg, że się to z czasem zmieni, a wtedy nam słońce jaśniej zaświeci. Szczęść Boże nowej spółce!
Czytelnik *J. Z.*

Język polski w Wilnie. Gubernator wileński dowiedziawszy się, że stróże domów w Wilnie rozmawiają z ludźmi po polsku, wydał rozporządzenie, aby w rozmowie z osobami z ulicy lub mieszkańcami domu używali tylko języka rossyjskiego. Który zaś po rossyjsku mówić nie umie, ma być niezwłocznie usunięty ze służby.

Zmarli. Dnia 10-go stycznia umarł s. p. ksiądz **Franciszek Bzeski**, od lat trzydziestu proboszcz parafji Św. Andrzeja w Warszawie. Zmarły kapłan był wysokim dostojnikiem kościelnym. Był prałatem kolegiaty łowickiej, prałatem domowym Ojca Świętego, oraz infułem, więc miał prawo używać przy mszy św. i uroczystościach kościelnych infuły i pastorału biskupiego. Żył lat 77.

Tego samego dnia zakończyła życie w Warszawie **Marja z Groserów Szlenkierowa**, bardzo zamożna, ale też i bardzo dobroczynna pani. Była opiekunką ubogich, chorych, sierot, dzieci opuszczonych przez rodziców, ubogiej młodzieży szkolnej, i nie żałowała hojnych ofiar na przytułki, szpitale, ochrony i szkoły. Dla uczczenia nieżyjącego męża, Karola Szlenkiera, wystawiła w Warszawie wraz z córkami i synem wspomniały gmach na szkołę, którą też własnym kosztem utrzymywała. Założyła ochronkę, w której gromada ubogich dzieci warszawskich wychowuje się na pożytecznych dla kraju obywateli. Łożyła pieniądze na utrzymanie szpitala dla dzieci i wogóle najbardziej opiekowała się ubogimi i nieszczęśliwymi dziećmi. Największą część jej ofiar pozostała w ukryciu, gdyż s. p. Marja Szlenkierowa nie pragnęła rozgłosu, a czyniła dobrze tylko z potrzeby swego szlachetnego serca.

W mieście Turku, w gubernji kaliskiej, zmarł przed samym Nowym Rokiem proboszcz tamtejszy od lat 30, s. p. ksiądz prałat **Michał Ozechowski**. Pozostawił po sobie pamięć kapłana gorliwego i bogobojnego. Skromnością, unikaniem wszelkiego przepychu, dobroczynnością, kzewieniem wśród parafjan trzeźwości i miłości bliźniego zjednał sobie uznanie i cześć ogólną. Słyszał też z wielkiej sprawiedliwości, tak, że nawet innowiercy w sporach z katolikami z całym zaufaniem do niego się udawali. Zmarły prałat gorliwie popierał wszystkie urzędnia i towarzystwa mające na celu dobro społeczne. To też na pogrzeb jego zgromadził się tłum dziesięciotysięczny i przybyło pół setki księży. Rozpoczynali pochód liczni przedstawiciele gminy żydowskiej z rabinem na czele, z wieńcem, cechy rzemieślnicze z wieńcami, dzieci z ochrony i uczniowie szkół; dalej szła straż ogniowa ochotnicza, przedstawiciele urzędów społecznych i t. d. Mowy pogrzebowe wygłosili: ksiądz kanonik Kmiec ze Zduńskiej-Woli, niegdyś pierwszy wikaryusz zmarłego, ksiądz Nowierski z Blenny, gdzie zmarły przed 30 laty był proboszczem, i ksiądz kanonik Majewski z Kalisza — w imieniu kapituły kaliskiej, w której zmarły zajmował najwyższe stanowisko.
N.

Ożywające zgromadzenie zakonne. Z miasta Kretynki, w gubernji kowieńskiej, pisze do nas jeden czytelnik:

Kretynka leży na Żmudzi, o dwie wiorsty od granicy panowania prusko-niemieckiego, a 12 wiorst od morza Bałtyckiego i od znanej z kąpieli morskich Połagi. Mamy tu kościół, w którym jest słynący cudami obraz św. Antoniego, a przy kościele klasztor Bernardynów. Cudowny obraz otoczony jest srebrnymi wotami, czyli ofiarkami, wyobrażającymi serca, ręce, nogi, oczy i t. p., złożonemi w podzięcie przez ludzi, którzy za przyczyną św. Antoniego zostali uzdrowieni. Kościół murowany wraz z klasztorem wzniesiony został w roku 1603 przez ówczesnego właściciela Kretynki, Jana Karola Chodkiewicza, wojewodę wileńskiego, hetmana litewskiego i koronnego. Za naszej pamięci Bernardyni w tym klasztorze byli już bardzo nieliczni, a w końcu zostało tylko dwóch: ojciec Bogwiłło i ojciec Dyrmeiko, obaj bardzo już starzy i chorowici. Dla pełnienia posług kapłańskich mieszkał w klasztorze już od lat dziesięciu proboszcz kretyński wraz z wikaryuszem, także księdzem świeckim. Gdy już jednak widać było, że życie owych dwóch ostatnich Bernardynów jest na schyłku, a po ich śmierci klasztor zostanie zamknięty, dwaj inni księża świeccy rozpoczęli za pośrednictwem biskupa żmudzkiego starania w urzędzie ministra od spraw wewnętrznych o zatwierdzenie ich na Bernardynów. Jakoż zatwierdzenie to otrzymali i przenieśli się do klasztoru. Po śmierci obu owych starców Bernardynów, biskup rozkazał w roku zeszłym około Wielkiójnocy oddać klasztor, kościół i parafję nowym Bernardynom, a księży świeccich przenieść do innej parafji. Gdy owi Bernardyni, ojciec Franciszek Bizowski — gwardjan, i ojciec Bonawentura Indrulis, po dopełnieniu w Kownie przez biskupa obłożyn, objeli klasztor w posiadanie, nastąpiła ścisła klauzura klasztorna, tak, że nikt obcy nie ma prawa wchodzić na piętro, gdzie są cele zakonne. Gwardjan, ojciec Bizowski, rozpoczął zaraz wczesną wiosną roboty około kościoła, bo go właśnie rozszerzono przez dobudowanie lewej nawy i przyłączenie z prawej strony kurytarza, a także podwyższano wieżę. Ksiądz gwardjan bez pomocy parafjan, prawie od ust sobie odejmując, dokończył podwyższenia wieży i postawił na niej piorunochron, a potem jeszcze dał w kościele posadzkę z kolorowych tafelek i nowe stopnie przy dwóch ołtarzach. Prawda, że tafelki na posadzkę były już kupione. Parafjanie kretyński patrzac od dawna na zmniejszającą się gromadkę zakonników bardzo nad tēm ubolewali, bo nie tylko sami od dziecka, ale i ich pradziadowie od trzech wieków od tych sług Bożych w bernardyńskich habitach pomoc duchowną otrzymywali i miłość ku nim weszła w szpik ich kości. Kiedy więc zobaczyli nowych Bernardynów, wychudłych od postów i umartwień, niejednemu z nich wytrysły z oczu łzy radości, że doczekali upragnionych duszpastarzy, którzy poświęcają pracy wszystkie siły, przesiadując całymi dniami w spowiednicach, bo nie tylko swoi, ale i sąsiedni parafjanie pośpieszają do nich do spowiedzi. Spodziewamy się doczekać i więcej Bernardynów, bo kilku jeszcze księży świeccich rozpoczęło starania o przyjęcie do klasztoru, a jeden z nich jakoby jest już zatwierdzony. Zaczęli też zgłaszać się pobożni ludzie na braciszków; ale pozostaje jeszcze niezajęte miejsce braciszka organisty. Gdyby kto chciał je zająć, niech się niezwłocznie zgłosi do ojca

gwardjana. Musi być bezzenny, mieć świadectwo o nienaganném sprawowaniu, bo to główna rzecz u Bernardynów, a przytém winien znać dobrze swój zawód, bo organy mają podwójną klawiaturę z nożnemi pedałami, i władać językami polskim i litewskim. Mieszkanie i życie będzie miał w klasztorze. *Czytelnik.*

Świątokradztwo. Z Opoczna, w gubernji radomskiej, piszą do nas:

W sobotę 21-go grudnia stróż kościelny obchodząc wieczorem kościół zauważył, że w jedném oknie szyba jest wyjęta, a pod oknem stoi ławka. Zamknął więc co prędzej tylne drzwi od strony cementarza i biegnie zwołał kościelnego. Wtém patrzy—oknem wyłazi z kościoła złodziej. Nuż więc krzyżeć: łapaj złodzieja! Sam by go nie złapał, gdyż był grubo obleczony, a złodziej w lekkiej odzieży i boso w mgnieniu oka dopadł do ogrodzenia od ulicy i przeskoczył przez żelazny parkan. Ale w tej chwili przechodził tamtędy jakiś młodzieniec. Widząc człowieka przeskakującego przez parkan i słysząc krzyk „łapaj!” pobiegł za uciekającym, dogonił go na końcu ulicy i podchwycił w chwili, gdy chciał ukryć się pomiędzy budynkami. Był to 22-letni Stanisław Kamiński z poblizkiego miasteczka Białaczowa, dopiero co wypuszczony z więzienia. Dostawszy się do kościoła, żelaznym prętem, który miał przy sobie, otworzył dwie szkatułki i zabrał z nich około sześciu rubli; chciał też otworzyć zakrystję, ale nie zdołał, bo drzwi są żelazne. Teraz siedzi w więzieniu. *Czytelnik.*

Gdzie zysk, a gdzie strata. Jeden czytelnik z okolicy Łowicza, w gubernji warszawskiej, pisze do nas:

Spotkałem się w Łowiczu z jednym znajomym, a było to przed Nowym Rokiem, więc mówię do niego:—Wiesz, bracie, opłaćmy sobie na przyszły rok Gazetę. — A on mi na to:—Wolę przepić te pieniądze, niż na ten papier dawać. Chybaby mi złodziej rozum ukradł! — Ha, róbcie, jak chcecie! — powiedziałem i poszedłem zamówić Gazetę, a mój znajomy odszedł w drugą stronę. Po jakimś czasie wracam z poczty, a on stoi przed szynkiem zasmucony, ledwo nie płacze. Pytam, co się stało, a on na to:—Wszedłem do szynku rządowego po wódkę, a wtém złodziej ukradł mi pieniądze z kieszeni. — A ile-żeście mieli? — Dzieścięć rubli, — powiada. — Niechże teraz każdy powie, kto lepiej wyszedł: ja, czy on? Napewno każdy przyzna, że ja, bo choć jemu złodziej rozumu nie ukradł, ale ukradł pieniądze z kieszeni, a mnie z łaski Boga ani rozumu, ani pieniędzy nikt nie ukradł. — Przy sposobności ostrzegam wszystkich spółczytelników, którzy bywają w Łowiczu na jarmarkach czy na targach, niech nie wstępują do szynku rządowego, bo niema targu ani jarmarku, żeby złodzieje kogo tam nie okradli; ciągle daje się słyszeć narzekanie, że temu 5, innemu 10 albo 15 rubli ukradli z kieszeni, a jednak ludziska precz się tam cisną. *Książak.*

Jasełka. Ze wsi kościelnej Przystajni w stronach Częstochowskich piszą do nas: Podczas świąt Bożego Narodzenia przedstawiano tu w sali parafjalnej „jasełka”. Występowała w tém przedstawieniu młodzież ze wsi, poprzebierana za różne osoby. Wszyscy bardzo dobrze spełnili swe zadanie, ale szczególniejszą uwagę widzów zwrócił na siebie przedstawiający Heroda Józef Janik. Po każdym występie widzowie długo klaskali w ręce, aby mu

wyrazić pochwałę i zadowolenie. Widzów zbierało się dość dużo, chociaż z żalem wyznać trzeba, że są jeszcze w parafji i tacy, którzy wolą marnować czas przy kieliszku, niż pójść na tak piękne przedstawienie. Zdaje się, że za zachętą księdza proboszcza Stawickiego odbędzie się tu jeszcze przedstawienie ładnej opowieści ze śpiewami i tańcami pod nagłówkiem „Łobzowanie”. *Maciej K.*

Zaczadzenie. Na parę dni przed Bożem Narodzeniem przyjechało koleją do Opoczna, w gubernji radomskiej, czworo ludzi ze wsi Sławna powracających z Prus, gdzie byli na robotach. Gromadka składała się z mężczyzny, dwóch kobiet i sześciolatniej dziewczynki. Nie chciało się im iść do domu, bo był deszcz i zimno, a że niedaleko od stacji kolejowej była przy składzie nafty próżna izdebka, więc prosili, żeby im pozwolono tam przenocować. W izdebce było zimno, więc podróżni napalili w piecu. Zamknęli drzwi i okiennice, bo mieli trochę pieniędzy i bali się, żeby ich kto nie podpatrzył; potem, nie czekając, aż się w piecu dobrze wypali, zasunęli szyber, pokładli się — i zasnęli na zawsze, bo się zaczadziło. Przez święta nikt do owej izdebki nie zaglądał. Dopiero w tydzień zauważył ktoś, że drzwi i okna są zamknięte. Wyważono drzwi, a tu w izdebce leżą cztery trupy. *Czytelnik.*

Objedzony przez kota. We wsi Klepaczewie pod Konstantynowem, w gubernji siedleckiej, umarł prawie nagle, wskutek wypadku, gospodarz Szymon Onuszek. Wdowa poszła do księdza proboszcza w sprawie pogrzebu, a że byli to ludzie bezdzietni i w domu nikt nie pozostawał, więc poprosiła sąsiadki, aby do jej powrotu czuwała przy zwłokach. Do plebańji było daleko, więc Onuszkowa powróciła do domu już o zmroku. Przychodzi, patrzy — drzwi są trochę uchylone, a w izbie przy nieboszczyku niema nikogo. Idzie więc do sąsiada i prosi, żeby kto poszedł z nią, bo jej przykro samą wejść do domu. Przychodzą, zaświecili lampkę, — Boże ratuj! co się stało!? Nieboszczyk ma twarz objedzoną do kości... Wybiegli z krzykiem zwołując sąsiadów. Zeszli się ludzie i dalej szukać sprawcy. Patrzają, a tu siedzi na piecu kot najedzony, aż gruby. I urządzono kota zastzelić, choć właściwie nic on nie był winien, bo to przecie zwierzę nierozumne. *F. W.*

Nowe znaczki pocztowe. Rząd postanowił zmienić marki czyli znaczki pocztowe. Stare znaczki będą sprzedawane na pocztach dotąd, aż wyczerpie się ich zapas, poczem będą sprzedawane już tylko nowe. Zamiast orła będą na nich podobizny Jego Cesarskiej Mości i kilku innych Cesarzów Rossji oraz rysunki różnych budowli.

Kto winien?

Powiatka.

(Ciąg dalszy).

W zgodzie i spólnej pracy życie płynęło Cierpizom szczęśliwie, a Bóg im zdrowia i dobrego bytu nie poskąpił. W ciągu kilku lat przybyło też młodemu małżeństwu dwoje ładnych dzieci. Dwuletni Stasek, ulubieniec ojca, nieźle już biegał, matka zaś wszystkie wolne chwile poświęcała pieczętom maleńkiej Zosi, którą miłowała nad wszystko.

Przez ten czas gospodarstwo ich powiększyło się znacznie. Korzystając z życzliwości dziedzica, dochowali się pary ład-

nych krów i sporo innego dobytku, a prócz tego mieli już odłożonych kilkanaście setek. Ludzie przebąkiwali, że Cierpiz nieza długo zagrodę sobie kupi i na roli osiadzie.

Bartłomiej spoważniał i miał uznanie nie tylko między czeladzią we dworze, lecz i u gospodarzy wzosowickich.

Ale na świecie niema nic stałego, więc i szczęście ludzkie nie jest trwałe; najczęściej zaś sami ludzie są temu winni, gdyż jak umieją dobrobyt z pomocą Boską budować, tak też potrafią przez lekkomyślność swoją wszystko zburzyć, rodzinę zniszczyć, i dojść do największej nawalet nędzy.

We Wzosowicach było wszystko po staremu. We dworze urzędnicy i czeladź pracowali uczciwie, otrzymując rzetelnie zapracowane wynagrodzenie. Wszyscy też byli weseli i dobrej myśli. Między gospodarzami a dworem również panowała zgoda zupełna, wzajemna życzliwość i zaufanie.

Aż nadszedł rok 1905. Dał on stosunkowo dobre urodzaje i obfite plony, więc we dworze wyprawiono sute dożynki. Potem, na jesieni, nadszedł czas kopania ziemniaków i buraków, do czego dwór wynajął dużo ludzi.

Jednego też dnia w październiku, gdy już słońce słabo ogrzewa ziemię, po niebie zaś przelatują ciemne obłoki, zwiastuny długich, nieprzyjemnych deszczów, które całą przyrodę spowijają w jakąś smutną martwość, gromadka ludzi złożona z kilkudziesięciu robotnic i robotników zajęta była kopaniem dworskich buraków.

Za długim rzędem robotników stał polowy; był to chłop tęgi, wasy miał zamasyście, odziany był w krótki kubrak i długie buty; na głowie miał „maciejówkę”, w rękę zaś trzymał gruby kij sękaty.

— Niedługo już będziemy na pańskie chodzili, — odezwał się starszy już wiekiem robotnik, zsypując z kosza buraki do stojącej na wykopalisku skrzyni.

— A to dlaczego? — zapytała zaciekawiona jedna z robotnic.

— Będziemy te pola jako własne obrabiali, a panowie pójdą precz ze wsi do miasta, — odpowiedział z tajemniczym wyrazem twarzy.

— A któż im za ich ziemię zapłaci? — zapytał inny, ciekawie przyglądając się opowiadającemu.

— Nikt im płacić nie będzie, bo ziemia jest nasza, gromadka, a oni przez tyle lat dochody z niej czerpali, krzywdząc nas, włóścian.

— Co też wy gadacie, kumotrze? Przecież Wzosowice jeszcze nieboszczyk stary dziedzic kupił, i tyle pieniędzy zapłacił! — odrzekł stojący opodal stary włóścianin, obierając z ziemi wyrwane buraki.

— To i cóż, że kupił, kiedy nie miał do tego prawa, bo ziemia nasza rodzona i do nas należy, — dowodził dalej robotnik.

— Juźci, prawda, że nasza! Bo chłop tylko do ziemi stworzony, a ziemia dla niego przeznaczona, — wtrącił się polowy, podpierając się na swym kiju.

— Et! Co tam bajdurzyciel! Jakbyście mieli pieniądze, to i wam wolno kupić sobie kawał roli i nikt nie miałby prawa jej wam odebrać, — odpowiedział starszek.

— Mnie nie, bom chłop, ale im, to my odbierzemy! — wykrzyknął tamten.

— Któż wam, Walenty, tak naopowiadał? — zapytał ciekawie starszek.

— Wy siedzicie we wsi, to nic nie wiecie; ja zaś jeżdżę po drogach, to o wszystkim wiem. Teraz, jakem jeździł z pze-

nicą do miasta, tom spotkał w karczmie u Ajzyka jakichś dwóch młodych panów, którzy mówili do zebranych ludzi, że już od 1-go grudnia wszystka ziemia musi przejść na naszą własność, jeno musi być między nami jedność. Do roboty dla panów nie wychodzić, nic ich nie słuchać, a potem, jak przyjdzie czas, to ich ze dworów powypęczać. Powiadam wam, ludzie ich całą chmarą słuchali, i dziękowali im za dobrą nowinę, a Ajzyk jeno im się ciągiem kłaniał, a nam powiedział, że to są tacy z partji, co to chcą dopomóc wszystkim robotnikom, jeno trzeba ich słuchać.

Wszyscy stali słuchając ciekawie opowiadania, aż jeden, średnich lat gospodarz, coś pomyślawszy, odezwał się:

— Dobrze to mówić: odebrał! wygnać! A co na to powie rząd, sądy? A jak do roboty we dworze nie pójdziemy, to i co z tego? Dwór sprowadzi sobie innych ludzi i tyle!

— Żadnego rządu, ani żadnych sądów nie będzie, bo wszystko to skasują owi z partji. A obcych robotników do roboty nie dopuścimy.

— Kiedyż to ma nastąpić? — zapytał jakiś robotnik.

— Za kilka tygodni. Przyjdzie taki dzień, że na całym świecie o jednej porze wszystkie roboty staną.

— I ja również będąc w niedzielę w mieście słyszałem, jak dwóch jakichś panów ogłaszało ludziom zgromadzonym na rynku, że każdy z nas ma dostać 30 morgów ziemi, a w miastach wszystkie fabryki mają przejść na własność robotników, — dodał polowy.

Takie i tym podobne rozmowy pomiędzy dworską czeladzią i robotnikami powtarzały się tej jesieni często. Zagożałym działaczem w Wrzowicach stał się kowal Ciupciński. Lubił on kieliszek, więc zaglądał często do poblizkiego miasteczka i wnet poznał się tam z jakimiś nieznanymi nikomu w okolicy przybyszami, którzy zjawili się niedawno w miasteczku, a starali się zakłócić spokój ogólny i zamącić porządek społeczny. Umiejąc dobrze gadać, łatwo kotłowali oni ciemnym ludziom w głowach, łapiąc ich na różne obietnice, które ziścić się nie mogły. Bardzo prędko owi maciucie poznali słabość Ciupcińskiego do gorzałeczki, więc też ściągali go często do miasta i zapraszali do kompanji, chcąc przy jego pomocy dotrzeć do spokojnych Wrzowic.

I trafili dobrze. Ciupciński był to człek głupi i ciemny, a dciwy choćby na cudze; odrazu podobały mu się bardzo obietnice owych panków, a choć nie rozumiał tego dobrze, jak się one spełnia, wierzył jednak nieznajomym na słowo i po powrocie z miasteczka opowiadał wszystkim we wsi, co od nich posłyszał.

Ludzie rozsądni i uczciwi mało słuchali bredni głupiego pijaka i nie wierzyli w obiecywane złote góry. Ale znalazło się sporo lekkomyślnych i łatwowiernych, którzy uwierzyli w przepowiednie kowala i nie żalowali mu za pomyślnie nowiny obfitych poczęstunków w karczmie.

Przed Cierpiszem, z którym kowal był w kumostwie, w początkach ukrywano wszystko, lecz pomału zaczął mu się kowal zwierzać ze swych wiadomości i przedstawiać złotą przyszłość. Ale Cierpisz, patrzając zdrowo na rzecz całą, z początku nie wierzył w te przepowiednie i często dochodziło pomiędzy nimi do sprzeczki.

Jednego razu zaszedł kowal do stelmarni, kiedy Bartłomiej zajęty był pracą, i odezwał się do niego:

— Niedługo będziecie, kumotrze, tak orać jak wół. Jak dostaniecie 30 morgów

gruntu, to będziecie mogli wziąć się do gospodarstwa, a jak nie, to sprzedacie ziemię i założycie sobie gdzie w mieście duży warsztat.

— Najlepiej liczyć na własną pracę, bo ona nigdy nie zawiedzie, — odrzekł Cierpisz; — a te wszystkie bajki dobre są dla dzieci. Bo któż to widział, żeby można było odbierać cudzą własność, toć to byłby gwałt, złodziejstwo. Na to żadne prawo nie pozwoli!

— Widzicie, kumie, wszystko ma iść do równego podziału, bo teraz ma jeden za dużo, a drugi nie ma nic.

— Dobrze! A jeżeli za kilka lat jeden przepije lub w jaki inny sposób straci swój majątek, który teraz otrzyma, a drugi uczciwą pracą dojdzie do większego majątku, to znów będzie ogólny podział? — zapytał stelmach wpatrując się w kowala.

— Co potem będzie, tego ci panowie z miasta nie gadali, jeno co ma być teraz.

— Więc widzicie, kumie, że to są tylko bałamuctwa, na które szkoda czas tracić.

— Ja nie umiem wam tego tak dobrze wytłómaczyć, ale ci z miasta to są ludzie mądzy, mówią tak, że przyjemnie posłuchać. Wybierają się oni tu do nas w niedzielę, to sami możecie ich posłuchać. O! przyjdźcie do karczmy w niedzielę, a wiele ciekawych rzeczy od nich się dowiedzie.

— Niewiele mi na tém zależy, lecz dla samej ciekawości chciałbym ich posłuchać, — odpowiedział zamyślony stelmach.

— Jak tyłką przyjadą, dam wam znać i poznam was z nimi. A teraz idę, bo mam pilną robotę.

Podał rękę stelmachowi i wyszedł. Powracając do domu, poświstywał sobie kowal z zadowolenia, że tak łatwo udało mu się namówić stelmacha, żeby poszedł w niedzielę do karczmy; właśnie umyślono urządzić tam wiec, na który kilku działaczy z partji zapowiedziało swój przyjazd, a kowal otrzymał polecenie, aby koniecznie na ten wiec sprowadził stelmacha. Cierpisz miał posłuch w całej wsi, więc chciano go koniecznie przerobić na swoje kopyto i wciągnąć do związku.

Roman Wolski.

(Co było dalej — podamy za tydzień.)

Pod Wiedniem.

Dziwnie wszystko zmienia się na świecie. Oto od paru miesięcy czytamy w Gazecie o wojnie bałkańskiej. Wiemy, w jak opłakanym stanie znajduje się obecnie cesarstwo tureckie, przeciw któremu powstały cztery niewielkie królestwa. I wyobrazić sobie trudno, że jeszcze paręset lat temu ta sama Turcja była potęgą, przed którą drżała cała Europa. A jednak to prawda. Pod panowaniem Turcji były wtedy wszystkie kraje na półwyspie Bałkańskim, jak również całe wybrzeże dookoła morza Czarnego, musiały jej słuchać Mołdawja, Wołoszczyzna i znaczna część Węgier. Turcja podobna była do jakiegoś wielkoluda, który straszne swe ręce coraz dalej wyciągał i coraz nowe ziemie i narody pod swe panowanie zagarniał.

A ciężka była dola tych krajów, co się pod to panowanie dostawały. Turcy byli jeszcze narodem napół dzikim; uciskali strasznie podbite ludy, a będąc mahometanami nawet dla wiary chrześcijańskiej żadnego poszanowania nie mieli; przeciwnie, przesławiali ją i często świętynie Chrystusowe na swoje meczety

przerabiali. Krzyże znikają wtedy z wież, a ich miejsce zajmowały półksiężyce, oznaka mahometanów wiary.

Próżno papież rzymscy nawoływali, aby państwa chrześcijańskie wojska swoje połączyły i spólnymi siłami złamały turecką potęgę; usiłowania te były bez skutku. Jedni tylko Polacy ciężkie nieraz z Turkami staczali boje, dzielnie bronili swój ziemi, nie dawali jej szarpać i precz wroga od granic swych przepędzali. Niedarmo też zwano Polskę „przedmurzem chrześcijaństwa“, gdyż naprawdę jak o twardej mur rozbijały się o nią wysiłki mahometan.

Ale z biegiem lat Turcja coraz groźniejszą się stawała. Olbrzymie jej wojska wyruszały ciągle na nowe wojny, a sułtan czyli cesarz turecki już o zawojowaniu całej Europy zamyślał. I przyszła taka chwila, że dwieście tysięcy tureckiego wojska pod wodzą wielkiego wezyra Kara Mustafy podsunęło się aż pod Wiedeń, stolicę Austrii. Turcy otoczyli miasto dokoła i zdobywać je zaczęli.

Było to w roku 1683. Strach wielki padł na wszystkie chrześcijańskie ludy. Jeżeli nawet Wiedeń w ręce wroga wpadnie, jeżeli już i tam półksiężyce zamiast krzyżów na kościołach zabłysną, to gdzież będzie kres tureckiej potęgi, co się wtedy jej oprze! — mówiono. I wszyscy z przerażeniem czekali, co będzie.

A zagrożona stolica w rozpaczliwym znajdowała się położeniu: wojska ledwie 16 tysięcy miała w swoich murach ku obronie, zapasów żywności starczyć mogło zaledwie na kilka tygodni, o pomocy znikąd nie było słyhać. Ba! nawet własny cesarz Leopold uciekł z miasta w tej ciężkiej potrzebie, aby w bezpiecznym miejscu.

Zdawało się, że już nie Wiednia nie uratuje.

W takiej to strasznej chwili do ówczesnego króla polskiego, Jana Trzeciego Sobieskiego, przybyli dwaj posłowie — jeden od cesarza Leopolda, drugi od papieża, i klękając przed nim, błagali go na kolanach, aby śpieszył na pomoc ginącej stolicy potężnego cesarstwa. — Ratusz, królu, Wiedeń! — wołał poseł cesarski. — Ratusz chrześcijaństwo! — dodawał drugi. A dla Jana Sobieskiego walka z Turkami nie była nowiną; nieraz już z nimi wojował, broniąc ziemi ojczystej, a nawet zanim jeszcze królem polskim został, już nad nimi sławne zwycięstwo pod Chocimem był odniósł i tęp własnie na koronę sobie zasłużył. Dobrze więc trafili posłowie, tęp bardziej, że i cały naród polski zawsze gotów był drugiem w nieszczęściu pomagać, szczególniej, jeśli jak w tym wypadku, szło jeszcze o obronę wiary świętej.

Zgodził się król iść pod Wiedeń przeciwko Turkom, i zaraz też, zgromadziwszy 22 tysiące wojska, przez ziemię szląską do Austrii je powiodł. Niewielka to była wprawdzie siła w porównaniu z taką chmarą Turków, która stolicę austriacką oblegała, ale król Jan Trzeci wiedział dobrze, że wojaków swoich przed nikim się nie powstydzi. Nie pierwszy to raz prowadził on ich na bój i znał doskonale ich meztwo i odwagę. Przymocowaną większą część wojska polskiego stanowiła tak zwana husarja, sławna na cały świat. Byli to konni rycerze, ubrani od stóp do głów w ciężką zbroję. Głowę hełm im żelazny całkowicie okrywał, że tylko oczy z pod niego świeciły, piersi bronił stalowy pancerz, a u ramion mieli oni jeszcze przymocowane ogromne blaszane skrzydła, które w biegu łoskot wielki sprawiały i straszyły nieprzyjacielskie



Wojsko serbskie rozstawia się w nocy przy świetle księżyca w wykopie obronnym pod Adrianopolem, oczekując napadu Turków z warowni. Samego Adrianopola tu nie widąc, gdyż jest bardziej na prawo. Okolice Adrianopola pokryte są już śniegiem i mróz dokuza tam Bułgarom i Serbom, którzy muszą stać obozem w polu.

konie. Za broń służyły husarzom ciężkie miecze oraz bardzo długie kopje czyli piki z chorągiewkami. Kiedy tacy rycerze pędzili podczas bitwy na swych ogromnych koniach, często również blachą okrytych, to aż ziemia trzęsła się pod nimi i wszelki opór nieprzyjaciela był daremny, bo go zawsze potrafili przełamać.

I szło teraz to polskie wojsko służyć dobrej sprawie — bronić sąsiadów chrześcijan od tureckiej niewoli. A drogę miało przed sobą daleką i trudną. Koleje żelaznych nigdzie wtedy nie było, mostów dobrych na rzekach brakło; nieraz trzeba było przez bory się przedzierać, lub iść prosto łąkami i polami, gdyż drogi były złe i wązkie. Ale właśnie na szczęście lato miało się ku schyłkowi, zboża wszystkie były pozbierane, trawy pokoszone, na nowe zasiewy było jeszcze za wcześnie; więc nie wyzadziło wojsko polskie żadnej szkody rolnikom, nie goniły za nim złowroczoności, ani łzy z jego powodu się nie lały. Dążyło nasze wojsko ciągle dalej i dalej, mijając wsie i miasta, krótkie tylko dla odpoczynku robiąc postoje. Na ziemi austriackiej przyłączyły się do niego oddziały niemieckie, które same przeciw Turkom ruszyć przedtem nie śmiały. Wreszcie 11-go wczesnia przeprawili się Polacy przez wielką rzekę Dunaj, co pod Wiedniem przepływa, i późnym już wieczorem rozłożyli się obozem na wzgórzu Kalenbergu naprzeciw wojsk tureckich.

Dopieroż to radość wielką zapanowała w Wiedniu, kiedy dojrano z wieży ognie, rozpalone przez Polaków na pobliskich wzgórzach. Miasto ledwie się już trzymało; Turcy podkopywali się już pod same mury, mocno przytępione nadwerżone od nieustannego prawie strzelania z armat tureckich, a i głód dawał się też we znaki. Teraz zaś mieszkańcy pewni prawie byli, że stolica ich ocaleje.

Widzieli też i Turcy przybycie Polaków, i na samą już wieść, że to właśnie król Jan Sobieski na pomoc obleżonemu nadciągnął, strach zabobny ich ogarnął. Pamiętali oni jeszcze doskonale klęskę Chocimską, którą właśnie 10 lat przedtem byli ponieśli; pamiętali też i inne boje, w których nigdy Sobieskiego przemódz nie zdołali. Więc zdawało im się, że chyba jakieś nadziemskie moce pomagają polskiemu królowi. — To lew silny, — mówili między sobą, — trudno bardzo z nim walczyć!

A król Jan miał rzeczywiście doskonały sposób wojowania z Turkami. Oto nigdy z bitwą nie zwlekał, nigdy nie dopuszczał do tego, aby nieprzyjaciel pierwszy na niego napadł, lub do walki dobrze się przygotował; przeciwnie, zanim wróg się opamiętał, już Sobieski rzucał się na niego niespodzianie ze swym dzielnym wojskiem i zwycięstwo zawsze odnosił. Tak też było pod Wiedniem. Skoro tylko świt zarumienił niebo, już ruch wszczął się w polskim obozie. Ustawiono naprzódce ołtarz i wszyscy pobożnie mszy świętej wysłuchali. Każdy modlił się żarliwie, a najbardziej chyba sam król, na którym ciążyła odpowiedzialność za całe wojsko. Nie na zgubę, ale ku chwale wielkiej dciał on je poprowadzić, a tymczasem wiedział dobrze, że nieprzyjaciel prawie siedemkroć jest silniejszy, że na każdego Polaka siedmiu pohańców, na każdy pałasz polski lub kopję siedem krzywych szabel tureckich wypada. I czuł król doskonale, że tylko z pomocą Boską wielkiego dzieła dokonać potrafi, więc gorąco prosił Boga o pomoc.

Zaraz po nabożeństwie zaczęło się woj-



Straż czarnogórska w górach pod Skodarem. Zdziwiający jest zwłaszcza na tym rysunku widok jeźdźca na wązkiej drożyni, która wiję się nad przepaścią. Jedzie sobie spokojnie, jakby mu nic złego nie groziło, a przecież lada potknięcie się konia — i jeździec wraz z nim zwali się w przepaść. Ale konie czarnogórskie przyzwyczajone są do chodzenia po górach i takich przepaściwych drożynach, więc i ten koń, co go widzimy na obrazku, też swego pana nie zawiedzie.

sko gotować do bitwy, a król Jan dosiadłszy konia, sam objeżdżał szeregi i rycerzom dodawał otuchy. Kiedy zaś wszystkie pułki, czyli, jak je w Polsce nazywano — chorągwie, pod wodzą hetmanów Sieniawskiego i Jabłonowskiego w porządku bojowym stanęły, z dwudziestu przeszło tysięcy piersi popłynęła stara bojowa pieśń polska: „Bogarodzica Dzie-wica, Bogiem sławiona Maryja“. Z tą pobożną pieśnią na ustach ruszyło nasze

wojsko na nieprzyjaciela. Zanim się Turcy spostregli, już runęły na nich, co koń wyskoczy, husarskie oddziały skrzydlate, spadły im na karki ciężkie pałasze, kłuty nastawione kopje. Zapędzili się polscy rycerze w sam środek nieprzyjacielskiego obozu, pod sam namiot wielkiego wezyra. Popłoch straszny wszczął się między Turkami, a sam wezyr Kara-Mustafa pierwszy rzucił się do ucieczki. Widząc to, mieszkańcy Wiednia pod dowództwem Staremberga wypadli też z murów i dalejże Polakom pomagać! 25 tysięcy Turków legło wtedy zabitych, a byli też i tacy, co się w rzece Dunaju uciekając potopili. Cały obóz turecki, który kilka wiorst długo i szeroko się ciągnął, dostał się w ręce naszych rycerzy. Pełno tam było koni, całe stada owiec, mnóstwo wozów z żywnością, z prochem, z różnemi kosztownościami, a namioty tureckie, których znajdowały się tysiące, porobione były nie z płótna, jak zwykle w obozie, ale z ciężkich dywanów i kosztownych tkanin, gdyż Turcy lubili ogromnie przepych i bogactwo. Uciekając w popłochu, nic a nic z tego wszystkiego nie zdążyli oni zabrać; myśleli tylko o tém, jak życie ratować.

Po wygranej bitwie król Sobieski wjechał z wielkim tryumfem do Wiednia, a mieszkańcy witali go jak zbawcę. W kościele Św. Szczepana odbyło się zaraz uroczyste nabożeństwo, podczas którego odśpiewano dziękczynną pieśń.

Coś w trzy dni po bitwie nadjechał wreszcie i cesarz austriacki Leopold. Zdawałoby się każdemu, że powinien był przedewszystkiem Sobieskiemu za pomoc gorąco dziękować. Ale gdzie tam! Teraz, kiedy już ze strachu przed Turkami całkiem ochłonał, zazdrość tylko czuł i niechęć dla polskiego króla, że dzielniej od niego się sprawił. Mówią nawet, że kiedy dwaj monarchowie pierwszy raz po odparciu Turków na polu pod Wiedniem się zjechali, to podobno cesarz wzdragał się nawet pierwszy Sobieskiego przywitać; widząc dopiero, że król Jan rękę do góry podnosi, cesarz prędko chwycił kapelusz, ale pomylił się, bo król polski wąsa tylko sobie z uśmiechem podkreślił i dopiero potem Leopoldowi ukłonem na ukłon odpowiedział. Nie doczekali się Polacy i później wdzięczności od Austrii, ale za to odsiecz Wiednia rozślawiła imię polskie po całym świecie i uratowała chrześcijaństwo od Turków. Od tej pory zaprzestali oni swych podbojów. A nam dziś serce rośnie, gdy czytamy, jak dzielnych mieliśmy prapradziadów.

Klęska zadana Turkom przez króla Jana Tzeciego stała się początkiem upadku wielkiej ich potęgi. Najprzód utracili kraj węgierski, który półtora lat trzymali pod swym srogim panowaniem. W sto lat potem Rossja zawojowała na Turkach Krym i północne wybrzeże morza Czarnego. Wkrótce wydobyła się z niewoli tureckiej Grecja, a potem Rumunja, Serbja i wreszcie Bułgarja. A dziś patrzemy już oto na ostateczny koniec panowania Turków w Europie. J. Z.

GOSPODARSTWO.

Co lepsze: czy latem paść krowy na pastwisku, czy trzymać je w oborze?

Odpowiedź na powyższe pytanie zależy od tego, czy rolnik prowadzi gospodarstwo mleczne, dalej, czy ma w pobliżu zbytne mleko świeże, czy też nie ma odbiorcy na takie mleko i musi je przerabiać na

masło i ser, które dłużej dają się przechowywać, przewozić i sprzedawać. Jeżeli prowadzi się gospodarstwo mleczne i jeżeli to gospodarstwo znajduje się w pobliżu większego miasta, fabryk, młeczarni i t. p., dalej, jeżeli zbyt mleka świeżego jest zapewniony, a przytém ziemi niema tak dużo, żeby część można było przeznaczyć na pastwisko, — w takim razie korzystniej będzie trzymać latem krowy w stajni na zielonej paszy. Dochód ze sprzedaży mleka po cenie większej w pobliżu gospodarstwa pokryje koszt uprawy różnych roślin pastewnych na paszę dla krów i sownie opłaci czas i staranie około krów. Przy trzymaniu krów w oborze więcej też będzie nawozu, co w każdym gospodarstwie rolnem jest rzeczą bardzo pożądaną.

Jeżeli jednak rolnik nie prowadzi gospodarstwa mlecznego, lub prowadzi takie gospodarstwo, ale nie ma w pobliżu zbytne mleko, i dochód z krów może osiągać tylko przez przerabianie mleka na masło i ser, — w takim razie lepiej opłaci się trzymać latem krowy na pastwisku, nie w oborze. Ale pastwisko pastwisku nierówne. Krowy trzymane na takich pastwiskach, jakie się widzi u nas po wsiach, nie mogą dawać dużo mleka. W dobrze prowadzonym gospodarstwie rolnem pastwisko powinno być rzeczywiście dobre, obfite w paszę. Kto wypędza krowy na pastwisko liche, na którym znajduje się licha trawa, albo rośliny mało pożywne, ten nie będzie miał nigdy dobrego dochodu z nabiału. Co prawda, gospodarstwo tak zwane pastwiskowe, w którym pola obsiane zbożem podsiewa się trawami i roślinami pastewnymi, i po sprężeniu zbóż, w następnym roku, zbiera się z nich dwa pokosy paszy, a potem przez rok, dwa, lub trzy lata pasie się na nich bydło, — takie gospodarstwo nie wszędzie u nas da się zaprowadzić. Co innego w krajach nadmorskich, lub bardzo górzystych, gdzie bywają częste deszcze i wielka rosa. W naszym kraju, przeważnie suchym, takie sztuczne pastwisko nie pokrywałoby się trawą dostatecznie szybko; dobre rośliny pastewne ginęłyby czasem, ustępując miejsca szkodliwym chwastom, a rolnik, zamiast spodziewanego żyznego pastwiska, miałby tylko jałowy nieużytek, utrudniający dalszą uprawę.

Zdaje się, że w większej części naszych gospodarstw najlepiej wypędzać codziennie krowy na takie pastwisko: z wiosną na łąki, na ugory przed zoraniem ich, potem w lasy, zarosła i odłogi, wreszcie na łąki po sprężeniu z nich siana, a w końcu jesienią na ściernisko i rżysko. Tak pasą bydło w wielu okolicach naszego kraju. Ale same takie pastwiska nie wystarczają. Nieraz naprzykład w zarosłach krowa zgoni się, zmęczy, a dostatecznego pożywienia nie znajdzie. Dlatego też raz daje mniej mleka, to znów więcej, słowem, wydajność mleka ciągle się waha. Żeby temu zapobiec, należy wybrać jakiś kawał pola, stosownie do ilości trzymanych krów, i obsiać go trawami i roślinami na paszę, którą dawać krowom po powrocie z pastwiska. Przez całą wiosnę i lato bydło wracające wcześniej z pastwiska znajdowałoby w stajni obfitą i posilną paszę. Z roślin, które się na taką paszę nadają, najwcześniej na wiosnę wyrosnie „wyka kosmata“. Sieje się ją w jesieni w żyto ozime; na móg 300-prętowy wysiewa się 170 funtów wyki i 120 f. żyta. Drugą bardzo dobrą rośliną pastewną jest koniczyna czerwona, ale siana nie sama, tylko razem z rajgrasem angielskim i tymotką. Mieszanke tę należy rznąć na sieczkę ze słomą jarą i tak krowom dawać.

Pierwszy raz kosi się ją wtedy, jak tylko kosa zająć może. Straty na tém nie będzie, gdyż koniczyna tak wczesnie skoszona wyda potem tém obfitszy drugi pokos. Samą koniczyną siał i krowom dawać niemożna, gdyż zawiera za dużo części białkowych i źle oddziaływałyby na zdrowie krów. Gdy zabraknie koniczyny z pierwszego pokosu, wtedy na innym kawałku pola trzeba mieć mieszanke z wyki, peluski i owsa, sianą później niż koniczyna z rajgrasem i tymotką. Potem, gdy mieszanke z wyki, peluski i owsa się skończy, zbiera się drugi pokos koniczyny, a potem nastąpi ptaszyniec (seradela) zasiany w życie, i „koński ząb“. Tym sposobem przez wiosnę, lato i pierwszą połowę jesieni będziemy mieli ciągle zasób zielonej, pożywnej paszy dla krów jako dodatek do pastwiska. Koszt na to wyłożony sownie się wynagrodzi zwiększoną wydajnością mleka, oraz obfitszym i lepszym nawozem. A. Sempołowski.

O uprawie truskawek.

Jakich używać sztucznych nawozów pod truskawki, w jakiej porze i ile? Co można siać lub sadzić po wyrzuceniu truskawek, aby znowu mógł je hodować na tém samym miejscu po upływie 2-3 lat?

Czytelnik.

Truskawki lubią wogóle grunt żyzny, obficie nawieziony i dostatecznie wilgotny. Przed założeniem więc truskawczarni trzeba ziemię głęboko przeorać lub przekopać, na łopatę wgląb, nałożywszy wprzód obficie na ziemię nawozu. Można też sadzić truskawki na ziemi, która była bardzo dobrze nawieziona roku poprzedniego, naprzykład pod kapustę.

Przy starannej hodowli zasila się jeszcze truskawki corok. Dobrze jest czynić to dwa razy: na wiosnę przed owocowaniem, i potem w lecie po zupełnem ukończeniu owocowania. Za pierwszym razem podlewa się gnojówką płynną, za drugim posypuje solą potasową, biorąc jej 1 do 2 centnarów na móg, i superfosfatem, którego bierze się 2 do 4 centnarów. Zamiast soli potasowej użyć można popiołu drzewnego. Po rozsypaniu tych sztucznych nawozów trzeba ziemię zmotyłkować. Wzrusza się ją również, ale tylko powierzchownie, na wiosnę.

Przez cały czas hodowli uważać należy, aby zielsko nie zarosło. W tym celu piele się truskawczarnię na wiosnę, zanim owoce dojrzewać zaczęły, a następnie po zbiorze kilka razy w ciągu lata. Przytém obcina się krzaczkom wąsy, aby roślinek nie osłabiała. Pozostawić można tyle tylko, ile potrzeba na rozmnożenie.

Truskawki rodzą się najobficiej w drugim roku po zasadzeniu, ale pielęgnowane odpowiednio opłacają się doskonale i w trzecim roku, a nawet jeszcze w czwartym. Dłużej tych samych roślin trzymać niewarto, bo się wyczerpują i dają owoce drobne.

Kto chce po jakimś czasie truskawki znowu na dawnym miejscu posadzić, niech pamięta o tém, że wogóle ziemia po roślinach trwałych, wyczerpujących z niej mianowicie jeden pokarm przez lat kilka, powinna potem odpoczywać tyle czasu, ile je żywiła; a więc, jeżeli truskawki hodowane były naprzykład przez 3 lata, to dobrze będzie po nich również przez 3 lata sadzić coś innego.

Odpowiedni tu będzie płodozmian następujący: w 1-ym roku po truskawkach — wazywa kozeniowe, a więc marchew, buraki, rzepa lub rzodkiew; w roku 2-im — groch, fasola, albo kartofle; w 3-im

roku — kapusta, a w 4-ym znowu do truskawek można powrócić. Trzeba tylko koniecznie ziemię pod kapustę na nowo doskonale uprawić i obficie mierzwą zasilić, bo roślina ta należy do najzarłocniejszych.

Truskawki zużywają bardzo dużo wilgoci. Tam, gdzie uprawa odbywa się na wielki rozmiar i gdzie idzie o wypielegnowanie bardzo okazałych i smacznych owoców, całą truskawczarnię w czasie owocowania roślin zalewają obficie wodą, aby ziemia dobrze nią nasiąkała. W. P.

Listy do Gazety Świątecznej.

Ze wsi Oleśnik pod Piaskami, w stronach lubelskich.

Łączna praca w parafji Fajslawickiej. — Oleśniki. — Rozdrobnione grunta. — Sady. — Sklep spółkowy i inne. — Szezyciel pijaństwa. — Potrzeba szkoły. — Czytelniectwo.

Wies Oleśniki należy do parafji i gminy Fajslawickiej. W Fajslawicach też oprócz kościoła i urzędu gminnego mamy kółko rolnicze, założone przed siedmiu laty. Ale jakoś słabo nam się to kółko toczy i członków ma niewielu; a i ci jeszcze nie wszyscy wnoszą składki, choć są one bardzo małe, bo płaci się tylko dwa złote rocznie. Zgromadzenia kółka miały się odbywać w pierwszą niedzielę każdego miesiąca; ale członkowie mało na nie przychodzili, więc teraz odbywają się tylko co kwartał. Może inaczej toczyłoby się kółko, gdyby dłużej był w naszej parafji proboszczem ksiądz Padiński, który to kółko założył. Ale założyciel wyjechał i kółko nie rozwija się należycie. Oprócz kółka rolniczego jest w Fajslawicach mleczarnia spółkowa, ale także jakoś kulawo idzie. Natomiast sklep spółkowy pod nazwą „Samopomoc“, istniejący od lat sześciu i także przez księdza Padińskiego założony, rozwija się bardzo dobrze. Sklep ten ma też oddział w naszej wsi.

Oleśniki jest to wieś niezamożna. Osad ma 62, a mieszkańców 1 tysiąc i 440. Ziemia tu jest dobra, popielicha i glinika, i udaje się na nią wszystko; ale cóż, kiedy mało kto używa do uprawy nowych, ulepszonych narzędzi rolniczych. Przy lepszej uprawie mielibyśmy i plony lepsze. Co prawda, przeszkodą do lepszej uprawy ziemi jest nieszczęsne rozdrobnienie gruntów. Gospodarz mający 6 do 18-tu morgów ziemi musi jęj szukać w czterech, albo pięciu miejscach. Ile z tego biędy, ile nieporozumień i kłótni pomiędzy sąsiadami, tego, jak to mówią, na wołowej skórze by nie spisał. Są tu i tacy, którzy korzystają z tego, że mają grunt w różnych miejscach, aby robić szkody sąsiadom. Są światli gospodarze, którzy pragną zcałić grunta, ale ogół jeszcze nie przejechał na oczy i nie może zrozumieć, jaki z tego byłby pożytek dla całej wsi. Może jednak Bóg da, że się to wkrótce zmieni. Cena ziemi jest tu duża; za morg 300-prętowy płacą około 330-tu rubli. Rodzi się na nią wszystko, byle umieć hodować. Moglibyśmy też mieć nie mały pożytek z sadów i ogrodów, bo drzewa owocowe rosną tu dobrze, ale gospodarze mało o to dbają. Prawda, mają niektórzy sadki przy domach, ale nie utrzymują w nich należytego porządku.

Sklep spółkowy, a raczej oddział sklepu spółkowego istniejącego w Fajslawicach, rozwija się w Oleśnikach, jak wspominałem już, dobrze. Mieści się w domu, w którym dawniej była karczma. Roczny obrót pieniędzy wynosi zgórá 8 tysięcy r.

W sklepie tym można dostać wszystkiego, co jest potrzebne na wsi. Oprócz sklepu spółkowego są jeszcze w Oleśnikach trzy sklepy utrzymywane przez chrześcijan i jeden żydowski, do którego chodzą przeważnie niektóre baby. Kupcowa im tłumaczy, że sprzedaje towary po takiej cenie, po jakiej sama kupuje w miasteczku, bo trzyma sklep tylko dlatego, żeby ludziom robić wygodę. I są baby, które wierzą, że kupcowa jest taką dobrodziejką. Są i mężczyźni, którzy lgną do tego sklepu jak muchy do miodu i radziby całymi dniami wycierać kąty żydowskie. Nawet w niedzielę i święto chętnie tam idą na pogawędkę i opowiadają żydom, co ksiądz mówił na kazaniu. Pisząc o sklepach nie mogę pominąć jednej smutnej sprawy. Oto znalazł się jeden wyrodek, Polak niestety i katolik, który wziął się do handlu wódką i piwem, choć sami postanowiliśmy, że oprócz szynku rządowego nielawo jest nikomu sprzedawać żadnych napojów spirytusowych. Myślę, że sprawa ta poruszona będzie na zgromadzeniu gminnym. Nie pozwólmy, bracia, utrzymywać we wsi kałużę, w której ludzie słabej woli i młodzież brudzą duszę i zaturują ciało!

Szkoły w Oleśnikach nie mamy wcale i nawet nie zanoszą się na to, żeby kiedy powstała. To też dzieci waleśają się latem po pastwisku spólnym, a zimą po wsi. Widok to bardzo przykry, gdy się widzi młodych chłopców włóczących się i palących papierosy. Doprawdy zgroza bierze, gdy się pomyśli, co to z tego kiedyś wyrosnie... To też szkoła potrzebna nam bardzo. Gdy będzie szkoła, to i oświata się podniesie, bo teraz bardzo nisko tu stoi. Gazety Świątecznej przychodzi na całą wieś tylko 5 egzemplarzy, choć czytać ludzie umieją. Co prawda, niektórzy tak czytają, że nikt ich czytania nie zrozumie, a nawet oni sami nie rozumieją, co czytają.

Przykro mi bardzo pisać ze swojej wsi prawie tylko o tym, co w niej jest złego. Ale cóżem ja winien, że niema nowin lepszych? Może wkrótce napiszę o postępie w dobrém. Daj Boże, abym to mógł uczynić jak najprędzej. *Obrońca prawdy.*

Nowinki telegraficzne.

Wojna bałkańska.

Układy o pokój. Londyn, d. 14. Jak już wiadomo, pełnomocnicy czterech królestw bałkańskich zapowiedzieli Turkom na posiedzeniu w przeszły poniedziałek, że dają im jeszcze tylko dwa dni do namysłu, poczem przerwą dalsze układy o pokój i wyjadą z Londynu, jeśli Turcja nie zgodzi się na oddanie Adrjanopola i wysp zajętych przez Grecję przy brzegu Azji Mniejszej. I możeby się na tym skończyło, a wojna wszczęłaby się, na nowo, ale wdały się w sprawę wielkie mocarstwa. Nie chcą one widocznie wznowienia się wojny i dlatego powstrzymały jeszcze pełnomocników królestw od wyjazdu z Londynu, a jednocześnie postanowiły zażądać spólnie od Turcji, aby układowe związki bałkańskie nie przewlekła i doprowadziła prędzej do zawarcia pokoju. Minęły więc owe dwa dni, przeszedł cały tydzień, a pełnomocnicy państw bałkańskich wciąż siedzą w Londynie, czekając, co dalej będzie. A tymczasem układy przez cały ten tydzień nie posunęły się ani o jeden krok na przód. Turcja obstaje stanowczo za tym, aby Adrjanopol i wyspy pozostały pod jęj panowa-

niem, królestwa zaś bałkańskie w żaden sposób nie chcą się na to zgodzić.

Rząd turecki rozesał w przeszłym tygodniu pismo do wielkich mocarstw w sprawie Adrjanopola i wysp przy brzegu Azji. Tłumaczy on, że Turcja nie może wyzec się Adrjanopola, gdyż warownia ta jest jęj koniecznie potrzebna dla obrony stolicy w razie nowej wojny. Dla tego samego Turcja nie może też oddać królestwom wysp swoich na morzu Greckiem, a szczególnie tych wysp, które są w pobliżu przepływu Dardanelskiego.

Pełnomocnik turecki w Londynie Reszyd-basza oświadczył w przeszłym tygodniu, że otrzymał nowe wskazówki z Konstantynopola i zwoła w sobotę 11-go stycznia wszystkich pełnomocników na nową naradę. Gdy jedank sobota nadeszła, Turcy zmienili nagle postanowienie i nowa narada nie odbyła się.

D. 15. Wielkie mocarstwa nie przesały dotąd Turcji spólnego żądania co do zawarcia pokoju, gdyż nie doszło jeszcze pomiędzy niemi do zgody w tej sprawie. Austryja, Niemcy i Włochy są więcej po stronie Turcji, a Rossja, Francja i Anglja po stronie związku królestw bałkańskich.

Konstantynopol, d. 15. Onegdaj, w poniedziałek, odbyło się w Konstantynopolu nadzwyczajne posiedzenie rady ministrów tureckich. Na posiedzeniu tém uchwalono, aby po otrzymaniu spólnego żądania mocarstw zwołać wielkie zgromadzenie państwowe, które postanowi, czy Turcja ma uleść naciskowi mocarstw i zawrzeć pokój z królestwami bałkańskimi, wyzekając się wysp i Adrjanopola, czy też ma wojować dalej. W zgromadzeniu owém mają wziąć udział dostojnicy państwowi, przedstawiciele duchowieństwa, wysłańcy gmin, naczelnicy wojsk i senatorzy. Turcja znalazła sobie tedy sposób na to, aby odwlec jak najbardziej danie odpowiedzi mocarstwom, gdyby przysłały jęj spólnie żądanie co do ustąpienia wysp i Adrjanopola.

Niektóre gazety zagraniczne wyrażają różne domysły co do tego, dlaczego Turcja przewleka jak najbardziej układy o pokój. Oto chce ona jakoby doczekać się wojny pomiędzy Rumunją a Bułgarją, albo też wielkiej wojny mocarstw, której groźba wciąż jeszcze wisi nad Europą. I w jednym i w drugim razie położenie Turcji stałoby się pomyślniejsze i łatwiej mogłaby ona wytargować dla siebie jakieś ustępstwo od królestw bałkańskich.

Sprawa Albańji i Serbji. Sprawa granic nowego państwa, które ma być utworzone z krajiny Albańji na półwyspie Bałkańskim, jest, jak się pokazuje, nową kością niezgody pomiędzy Austryją a Rossją. Rossja dąży do tego, żeby jak największą część Albańji dostała się królestwu Serbskiemu, a ma w tém i własne wyrachowanie. Wiadomo bowiem, że Serbja słucha Rossji we wszystkiém, a wrogo jest usposobiona przeciwko Austryji. Im więc Serbja będzie większa i silniejsza, tém bardziej zagrażać będzie od południa mocarstwu Austryjackiemu. Tego zaś wcale nie pragnie, rozumie się, Austryja. Aby zabezpieczyć się na przyszłość, musi ona opierać się znacznemu wzmocnieniu się Serbji i musi dążyć do utworzenia z przyjaznej sobie Albańji państwa przynajmniej tak dużego i silnego, jakim będzie Serbja. Austryja spodziewa się, że wówczas, w razie wojny z Rossją, Serbja obawiając się Albańji musiałaby siedzieć cicho. Jak największe więc rozszerzenie granic nowego państwa Albańskiego jest dla Austryji konieczną potrzebą; Rossja zaś

chce doprowadzić do tego, żeby Serbja była jak największa, Albańja zaś jak możliwie najmniejsza.

London, d. 15. W przeszłym tygodniu odbyły się dwie nowe narady posłów wielkich mocarstw w sprawie granic Albańji, ale do zgody nie doszło. Jedno z mocarstw sprzymierzonych z Rossją wystąpiło z radą, aby Austrja i Rossja doprowadziły w pierw swoje siły wojenne do stanu zwykłego, pokojowego, a dopiero potem mocarstwa ułożą się między sobą co do granic Albańji. Austrja odrzuciła stanowczo ten warunek; Rossja zaś oświadczyła, że nie rozpocznie robienia swych sił wojennych dotąd, dopóki tego samego nie zarządzi u siebie Austrja.

Wiedeń, d. 15. Donoszą z Petersburga, że minister od zagranicznych spraw Rossji, Sazonow, i poseł austriacki urzędujący w Petersburgu próbowali w przeszłym tygodniu dojść do jakiegoś porozumienia w sprawie Albańji, ale na próżno.

Belgrad, d. 15. Rząd serbski ogłosił, że gotów jest po zawarciu pokoju zabrać wojsko swoje z nad morza Adrjatyckiego w Albańji, kiedy już mocarstwa nie chcą dopuścić Serbji do morza. Naród serbski nigdy jednak nie zgodzi się na to, aby mu odebrano całą północną część Albańji, którą zdobył krwią własną.

Zatarg rumuńsko-bulgarski. *Bukareszt (stolica Rumunii), d. 15.* Pod koniec przeszłego tygodnia kilku działaczy państwowych z Rumunii pojechało do Konstantynopola, żeby widocznie zawiadzić się z Turcją przeciwko Bułgarii. Jednocześnie zatarg pomiędzy Rumunią a Bułgarią zaostriżył się tak bardzo, że lada dzień oczekiwano, iż rząd rumuński każe wkroczyć swemu wojsku do Bułgarii i zająć przemocą żadaną przez siebie ziemię wraz z miastem Sylistrią. W sobotę jednak nastąpiło niejakié uspokojenie, gdyż przewrnię przedtem układy pomiędzy Rumunią a Bułgarią nawiązane zostały na nowo. Układy te toczą się w Londynie pomiędzy pełnomocnikiem bułgarskim Danewem a rumuńskim ministrem Joneskiem, który bawi teraz w Londynie.

Z Bułgarii. *Sofja, d. 15.* Podług wiadomości urzędowych, w wojsku bułgarskiem poległo podczas wojny z Turcją aż 15 tysięcy ludzi. Ranionych zaś było 35 tysięcy ludzi. Liczby te wskazują, jak krwawe były bitwy pomiędzy Bułgarami a Turkami.

Rząd bułgarski posłał do Petersburga swego ministra od spraw pieniężnych Teodorowa. Jaki jest cel tej podróży, niewiadomo.

Wojsko bułgarskie zajęło, jak wiadomo, część wybrzeża morza Marmurowego. Teraz Bułgarzy zabezpieczają to wybrzeże na wypadek wznowienia wojny i w tym celu zakładają na morzu wzdłuż brzegu buchadła podwodne, aby okręty tureckie nie mogły do niego dopływać.

Ostatniemi czasy całe gromady żołnierzy tureckich uciekały z obleżonego miasta Adrjanopola, pozwalając się brać w niewolę Bułgarom i Serbom. Pokazuje się, że dowódca Adrjanopola, mając aż 50 tysięcy wojska, umyślnie pozwalał uciekać swoim żołnierzom do nieprzyjaciół, aby dla pozostałych na dłużej starczyło pożywienia. Dowiedziawszy się o tym wybiegu Turków, Bułgarzy i Serbowie przestali zabierać zbiegów w niewolę i odsyłają ich napowrót do warowni.

Z Turcji. *Konstantynopol, d. 15.* Oficerowie tureccy domagają się dalszej woj-

ny, dowodząc, że wojska tureckie pod Czataldżą są obecnie tak silne, iż mogą łatwo pobić Bułgarów. Jednocześnie partja „młodoturecka“ odgraża się przeciwko rządowi, gdyby zawarł pokój na warunkach żądanych przez królestwa bałkańskie. Rząd turecki, obawiając się buntu ludności, postawił strażę wojskową przy urzędach i rozsyła codziennie wojsko na ulice miasta.

Mianowany został nowy dowódca sił morskich tureckich, Halil-basza. Rząd dał mu polecenie wydania bitwy okrętom greckim wtedy, kiedy sam uzna to za korzystne.

Z Grecji. *Ateny, d. 15.* Szósta dywizja wojsk greckich wyruszyła z miasta Salonik do krajiny Epiru, aby pomagać tam swoim w zdobywaniu warowni i miasta Janiny.

Gazety greckie piszą, że Grecja nie odda dobrowolnie wysp, które oswoiła teraz z niewoli tureckiej. Jeśli mocarstwa zechcą te wyspy zwrócić Turcji, to chyba siłą będą musiały wypęczać z nich wojska greckie.

Wyspa Kreta była, jak wiadomo, od jakiegoś czasu pod opieką wielkich mocarstw europejskich, które też trzymały przy jej brzegu po parę swoich okrętów wojennych. W przeszłym tygodniu odpłynęły od niej oba okręty francuskie, a to samo mają teraz zrobić okręty angielskie i rosyjskie. Jest to dowód, że mocarstwa zgadzają się na przyłączenie Krety do królestwa greckiego.

Z Czarnogóza. *Cetyńja, d. 15.* W tych dniach Czarnogórcy natarli na warownię Skodar, chcąc zdobyć ją szturmem, ale zostali odparci przez Turków z dużemi stratami. Podobno aż tysiąc żołnierzy czarnogórskich padło zabitych, a 600 ranionych.

Z Serbji. *Belgrad, d. 15.* Donoszą tu, że na jednej z wysp na rzece Dunaju, należącej do panowania Austrji, został zniszczony przez wybuch wojskowy skład prochu i naboju. Przyczyna wybuchu niewiadoma.

Z Francji. *Paryż, d. 15.* Gazety francuskie rozpisują się szeroko o nowém powiększeniu wojsk niemieckich i widzą w tém zapowiedź bliższej wojny. Piszą one, że wojna w tym roku jest bardzo możliwa i naród francuski musi być na nią przygotowany.

Z Petersburga. *D. 13.* Rząd rosyjski zawiadomił sąsiednie mocarstwa, że zabrania przelatywać przez swoją granicę balonom i latawcom zagranicznym. Jeżeli jakiś balon czy latawiec przeleci przypadkiem ponad granicą, a nie opuści się niezwłocznie na ziemię na znak dany chorągwią lub latarnią czerwoną, to strażę będą strzelały do niego. Zakaz ten ma obowiązywać do połowy tego roku.

Do Petersburga przybyło poselstwo mongolskie z Azji. Przewodniczy mu minister od zagranicznych spraw nowego państwa Mongolji.

W mieście Dyneburgu nad rzeką Dźwiną powieszono z wyroku sądu wojennego niejakiemu Markowa, który był oskarżony o zabicie dozorca więzienia, Moskala.

Z pod panowania Prus. Na kilka dni przed Nowym Rokiem zaczęły rozchodzić się w mieście Poznaniu pogłoski, że Polacy zamierzają tam napaść w noc noworoczną na Niemców. Jednocześnie zjawili się w mieście jacyś podejrzani ludzie, którzy uwijali się pomiędzy ludnością polską, podburzając ją przeciwko Niemcom, a władze zaczęły sprowadzać policję

z innych miejscowości. Gazety polskie, widząc, na co się zanosi, ostrzegły ludność, żeby nie dała się uwieść i zachowała spokój. Nadeszła noc noworoczna. Na ulice miasta wysłano całe oddziały policji, zjawili się też znowu owi jacyś ludzie podejrzani i, niewiadomo do czego by doszło, gdyby nie to, że ludność polska w Poznaniu nie tak łatwo idzie na lep podżegaczy. Nikt z Polaków nie wyjrzał nawet tej nocy na ulicę i każdy spotykał Nowy Rok w domu, wśród swojej rodziny. Niemcy chcieli wywołać widocznie jakieś rozruchy w mieście, aby mścić się potem na Polakach, ale nie powiódł im się ten zamiar dzięki rozwadze ludności polskiej.

Ceny w Warszawie.

Na rynku sienno-zbożowym Witkowskiego d. 14 stycznia 1913 r.	Płacono		Żądano	
	R. K.	R. K.	R. K.	R. K.
Pszonica (kozec 242 f.)				
wadliwa				
biała	7 10	7 20		
wyborowa			7 40	7 55
Żyto (kozec 232 f.)				
wadliwe				
średnie	5 10			
wyborowe	5 20			
litewskie				
Jęczmień 2-zęd. (k. 200 f.)	5 20	5 40		
Jęczmień 4-zęd. (k. 200 f.)	4 70	4 80		
Owies średni (kozec 160 f.)	3 60	3 70		
Owies wyborowy	4	4 20		
Ziemniaki (kozec)				
Kubin żółty (260 f.)				
Siano (pud)	73	78		
Słoma (pud)	38	40		

Targ na Prażę przy stacji kolei Terespolskiej d. 14 stycznia 1913 r.

Cena puda (40 f.) przy kupnie całemi wagonami:
 Pszenica (żądano) od 1 r. 15 k. do 1 r. 25 k.
 Żyto (żądano) od 85 k. do 94 k.
 Owies (płacono) od 90 k. do 1 r. 4 k.
 Jęczmień na kaszę (płacono) od 94 k. do 96 k.
 Jęczmień browarny (żądano) od 1 r. 5 k. do 1 r. 8 k.
 Gryka (płacono) od 98 k. do 1 r. — k.
 Kasza jaglana (żądano) od 1 r. 30 k. do 1 r. 40 k.
 Kasza gryczana (płacono) od r. 42 k. do 1 r. 46 k.
 Groch wazelnny (płacono) od 1 r. 20 k. do 1 r. 30 k.
 Groch „Wiktoria“ (żądano) od 1 r. 40 k. do 1 r. 65 k.

3 medale NASION cennik B-cia CHOMICZ.
 złote. bezpłatnie
 Zakład Ogrodniczy. WARSZAWA, Zgoda, № 8.

MASZYNY DO SZYCIA
KOMPANJI SINGER

MASZYNY
RĘCZNE

OD 20 R.



KOMPANJA SINGER

MASZYNY
NOŻNE

OD 40 R.

WYPŁATA RATAMI od 1 RUB TYG
WARSZAWA, ul. MARSZAŁKOWSKA 137
ORAZ WE WSZYSTKICH WIĘKSZYCH
MIASTACH KRÓLESTWA POLSKIEGO.